

Martyna Borowska

# Kajwalia



**Martyna Borowska**

*Kajwalia*

# **Kajwalia**

wydanie pierwsze, ISBN 978-83-958547-4-3

© Martyna Borowska i Wydawnictwo Agrafka 2021

REDAKCJA I KOREKTA

Studio Grafpa

SKŁAD I ŁAMANIE

Anna Szymeczek-Przybyło

OKŁADKA

Anna Szymeczek-Przybyło

DRUK I OPRAWA

Mazowieckie Centrum Poligrafii

ul. Ciurlionisa 4, 05-270 Marki

WYDAWCA

Wydawnictwo Agrafka

ul. Macierzankowa 15, 64-514 Przeclaw

e-mail: [wydawnictwo.agrafka@gmail.com](mailto:wydawnictwo.agrafka@gmail.com)

tel: 503 093 660

[www.wydawnictwoagrafka.pl](http://www.wydawnictwoagrafka.pl)

**Promienie słońca znów rozjaśniły niebo**

*i choć znikają tak często,*

*natura nie poddaje się,*

*drzewa szczytami wyglądają wschodów,*

*a góry w pokorze przyjmują chłostę mrozu.*



# *Prolog*

## **Kosmiczne dzieci to kamienie**

Marta była zaskoczona ukształtowaniem terenu – u podnóża Miasta na Górze rosły obficie lasy o zróżnicowanym podłożu. Trafiła na miejsca wciąż usłane liśćmi, pokryte wilgotnym mchem albo porośnięte dzikimi roślinami, z których mogła przyrządzić sobie jedzenie. Schodząc wciąż w dół, widziała kwitnące drzewa owocowe; może rodziły słodkie owoce dla duchów lasu, bogów tej góry?

Góra rozciągała się wysoko ponad jej głowę, a na nizinach łączyła z innymi, niższymi pagórkami. W dolinie unosiła się mgła i padał lekki deszczyk. Przypominał on Marcie monsunowe miesiące, które spędzała u podnóżu Himalajów. Wyłączona z życia zewnętrznego, cały ten czas mogła poświęcać na kontemplację, w której nie wychodziła poza siebie – tylko poszerzała i rozciągała swoje Ja. A dźwięk deszczu szeptał do ucha kobiety historie o nowych drogach, które na nią czekają w świecie. Stojąc teraz w mglistej dolinie, dostrzegła piękno tej wędrówki ułożonej z podszeptów serca i niejasnych przeczuć. Mogła podążać w dowolnym kierunku – wewnętrznym czy zewnętrznym jednocześnie...

Na tę myśl chmury przyspieszyły swój bieg po niebie. Sunęły w stronę góry, ciemniejąc. Deszcz naturalnie się nasilił, ale wzrok Marty cały czas padał na ziemię. Intensywna zieleń tych łąk i żdźbła traw ozdobione kropelkami wody wprawiały kobietę w rozczenie, jakie można odczuć tylko na wspomnienie ojczystej ziemi. I wcale nie miało znaczenia, czy urodziła się w tej osobliwej dolinie – nigdy wcześniej tu nie była. Chodziło o szczególną więź, jaką odczuła przez przyciąganie ciała do tego miejsca. Właśnie tu mógł narodzić się świat – może robi to regularnie, w cyklach, a kolebka zawsze pozostaje czysta, dziewicza. Marta odwróciła się w stronę lasu, którym zeszła tutaj z Miasta na Górze. Mienił się bielą, zielenią i różem; odcienie te wypełniały przestrzeń pustą podczas innych pór roku. Jak wtedy wyglądała ta dolina? Pewnie wzbudziłyby w Marcie ekscytację płynącą z grozy – nagie drzewa, błoto pod stopami, jakiś strumyk wpadający do jeziora, które pobłyskuje pod skalną ścianą... A Marta weszłaby do niego goła lub w ubraniu i zanurzyłaby się w lodowatej wodzie. W tym rytmie obrzędu wokół siebie i wszechświata doczekać by mogła swojej śmierci.

Jednak jezioro, do którego się teraz zbliżyła, nie było błyszczące, lecz błotniste i porośnięte tatarakiem. To znaczone kroplami deszczu bagienko wydawało się chłonać w siebie ciszę – zabierało ją całą w swe muliste głębiny i tam czyniło ją jeszcze cichszą. Nad brzegiem każdy mógł trochę doświadczyć tej ciszy, zapaść się w nią, znieruchomieć na wieczność.

Marta oparła się plecami o duży kamień nieopodal i przetrzała mokrą od deszczu twarz, aby opatulić ją potem kapturem. W granatowym płaszczu przeciwdeszczowym wyglądała jak niecodzienna narośl na głazie. Marta Góra ceniła kamienie, mogła być kiedyś jednym z nich i nawet jakaś część jej była jak kamień. Lecz nie wiedziała jeszcze, czy była nim od zawsze, czy to pobyt pod Himalajami umocnił tę część jej osoby.

Dlaczego nie pozostała tam, czemu nie pozwoliła sobie pozostać nieruchomym, cichym reliktem przeszłości albo raczej osobliwej teraźniejszości?

Być może chodziło o miejsce – w świecie lub w niej.

Marta naraz zobaczyła więcej głazów jakby powtykanych w wilgotną ziemię przez olbrzyma. Ich równomierne ułożenie w części doliny nie pozostawiało wątpliwości. Mgła opadła, ukazując kamienne główki – pozabawione jednak napisów, znaków, obrazów. Były gładkie lub chropowate, lśniły od deszczu lub spływał on po nich. Niektóre pokruszone, inne wciąż twarde, stabilne, wyglądały ponad swych starszych towarzyszy.

Kobieta była pewna, że w niektórych przypadkach trzeba się narodzić ponownie, by coś zrozumieć, pojąć. Dlatego śmierć mogła być niejednokrotnie ratunkiem i pocieszeniem. Tęskniła za cmentarzami po długim pobycie w kraju Bharatów<sup>1</sup>, gdzie ciała przemieniano w proch, by prędzej znalazły się w dalszej wędrówce lub się z niej wyzwoliły. A pola i zagajniki zastawione nagrobkami – tak różnymi, jak różne są kultury świata – przypominały człowiekowi o jednostkowym byciu, w jakim się narodził. Przemieniały go w symbol, wcielały w kamienie, jakby miał być znakiem dla siebie samego.

Marta Góra odnalazła własne miejsce pochówku, by stanąć nad nim, pokiwać w zrozumieniu głową, że oto jej kamienne jestestwo przetransformowało się w łasce innego życia i świata, bo może gdyby nie globalne zmiany na Ziemi, Marta nie mogłaby zrealizować się w pełni, przekroczyć granicy człowieczeństwa. Kobieta zaśmiała się w duchu: bo przecież większej igraszki z człowieczeństwem niż śmierć i narodziny nie ma. Te dwa wydarzenia sprawiają, że tylko krążymy wokół możliwości bycia człowiekiem, ciągle musimy albo do tego dorastać, albo od tego odpoczywać – zmęczeni, zrezygnowani.

Na szczęście nowa epoka widziała w cmentarzach przystanek, a nie kres. Chociaż w tej dolinie, zapadniętej we własnej ciszy, wszystko było jak na napiętej, pulsującej granicy tańczących ze sobą śmierci i narodzin.

Mieszkańcy Miasta na Górze nie chowali tu zmarłych, bo i zmarłych tam nie mieli. Cmentarz był znacznie starszy, pozostawiony sobie albo naturze, albo właśnie do niej należał.

Marta Góra jak we śnie zobaczyła nagle to wydarzenie: swoją śmierć w tej dolince, jeszcze zanim planeta uległa przemianie, zanim mieszkańcy podgórskiej wsi przenieśli się na szczyt, tworząc miasto. Coś w Marcie, jakaś stara ona, mówiło dawno niesłyszaną modlitwę:

*Postawię nienarodzonym pomniki na rozległych zamkowych dziedzińcach, dziedzińcach kwitnących miłością i kolorowymi kwiatami. W zapachu nasienia i potu z uniesienia wytańczę im pozłacane ornamenty. Będą bogami i herosami, dostojnością poranków i nadzieją wieczorów, subtelną wonią i melodią z zaświatów. Wiedzą przedwieczną wypełnią swoje wnętrza, a czynem nadmysli stwarzać będą nowe tory dla galaktyk.*

---

1. Starożytna nazwa Indii, związana z plemieniem Bharatów, które zamieszkiwało północno-wschodnie Indie pod koniec II tysiąclecia p.n.e.



*Ja w milczeniu pozostanę stworzycielką cudzych form, niewidocznych, nierealnych niczym boga dom. Dam im za to pukle treści, wiązanki aromatów, garść idei, by z tym w beczasie mogli trwać. Nie poznam imion, nie będzie ich. Nie ujrzę twarzy, tylko strumień energii i strumień ciepła we wnętrzu siebie i strumień myśli, odczuć... znów poleci wprost ze mnie w bezmiary.*

*Utkani z rozkoszy – uczucia silnego i trwałego jak kamień – w chwili oswobodzenia z ram. Kosmiczne dzieci i ich taniec u świata bram. Bądźcie pozdrowione, uleczcie nas, zabierzcie...*

Wyrzekła się życia, które wyrosło w niej. Mieszkała tam, w lesie, w brzozowym gaju, doglądając młodych jeszcze drzew owocowych. Nie sama, a z mężczyzną o piwnych oczach, których spojrzenie kierował w odległą, skalistą materię innych planet. Taką tęsknotę Marta знаła także z początków swojego obecnego życia.

Mieszkali więc wśród starych brzoź i kobieta widziała ich teraz, jak idą w stronę jeziora błyszczącego czystością. A nad nimi świeciło słońce, otulało ich ciepłem i nadzieją. Gdy zbliżyli się do powierzchni wody, mężczyzna zanurkował zgrabnie i przepłynął na sam środek. Kobieta zaś powoli obmywała ciało, patrząc na swoje odbicie w tafli. Syciła się dotykiem żywiołów na skórze – wody i słońca. W odbiciu sylwetka jednak zmieniała się tak, że kobieta nie potrafiła rozpoznać siebie. Obraz zamazywał się, odbijał górę za jej plecami, dostrzegła drzewa zamiast swoich nóg, liście zamiast włosów, aż nagle wszystko zniknęło, bo na dnie wody zabłyszczały kamienie. Ich piękno i delikatność wzruszyły kobietę do tego stopnia, że bez namysłu zniknęła pod wodą. Lecz było znacznie głębiej, niż sądziła, nie mogła sięgnąć do cennych klejnotów.

Kiedy mężczyzna wyłowił jej ciało, w dłoni nie trzymała ani jednego.

Marta miała mokrą twarz od deszczu i łez. Bezimienne nagrobki dalej obmywała woda i kobieta już wiedziała, że jezioro dopiero tu będzie. Zajmie całą dolinę, dotykając pierwszej linii drzew, przykryje groby, by ciała spoczęły w jeszcze większej ciszy. W głębinach obmyją się ze śmierci i przemianą w rośliny lub klejnoty, obficie pokrywając dno i brzegi jeziora.

## Gaj Starych Brzóz

*Nie wszystko da się rozwiązać śmiercią. Myślą i wątpliwością także – szeptały ich stare, porośnięte mchem pnie.*

Kiedyś była między nimi aleja prowadząca do dzikiego ogrodu. W nim drzewa owocowe kwitły na biało. A inne rośliny, splątane przy ziemi i przytulone do siebie, bujnie zieleniły się co roku.

Bała się otwartych przestrzeni – nie w sensie fizycznym, choć odczuwała to w życiu codziennym, kiedy przesiadywała długo pomiędzy drzewami. Wtedy też wyobrażenie nieskończoności i przestrzeni rosło i oddalało ją od chwili, w poczuciu obcości wszystkiego. To dosyć rozległe stwierdzić – *wszystko*, a jednak Wszystko obejmowało ją w jednej sekundzie spokojnego oddechu w tym lesie.

Choć stare brzozy powtarzały, że śmierć jej nie uwolni od przymusu powracania do wyszywanego strachem Ja, ona wędrowała przez mchy i wrzosa, wyobrażając sobie abstrakcyjną wolność. Nie mogli mieć więcej wolności od świata i innych, niż im się udało zachować. „Dom w lesie” to metafora – domem był las w całości, bez drzwi i okien.

Mieszkali w sprytnie zbudowanej (przy użyciu konopnego betonu) chatce. Ich dni wypełniało lenistwo natury – raz nagrzejanej słońcem, raz obmywanej deszczem, targanej wiatrami lub zastygłej w ciszy wieczorów. Gdy wiosną żółte kwiatki przyozdabiały trawę, rozpoczynali swoje na wprost tylko ludzkie życie. Wybudzeni z zimowego wypoczynku byli pełni energii i ochoty na zielone rośliny oraz krystaliczną wodę, która spływała z górskiego źródła. Przepływała przez Gaj Starych Brzóz i jej szum często uzupełniał ich melancholijne historie.

Marta wiedziała na przykład, że góra, rozrastająca się na każdą stronę świata w formie mniejszych pagórków, odwiedzana jest czasem przez podróżników i włóczykijów. Może sama była kiedyś jednym z nich? Nie potrafiła sobie przypomnieć ani jak znalazła się w tym lesie, ani w dolinie usianej mleczeniami. Czy zeszła z góry i trafiła do urokliwego Gaju, w którym mieszkał ów mężczyzna? Jak długo żyli razem, zanim musiał w smutku wyłowić z jeziora jej ciało? Kobieta odwróciła się od tonących w wyobraźni nagrobków i mrużąc oczy, spróbowała wypatrzyć białe pnie w lesie. Okolica soczysta od

deszczu i świergot baraszkujących w koronach drzew ptaków utwierdzały ją w poczuciu, że jest w miejscu sobie przeznaczonym. Może nawet mieszkający z nią mężczyzna nie przynależał tutaj tak jak ona, związana z doliną poprzez śmierć. Gdzie był? Czy był?

Pamiętała, że do Gaju dotrzeć nie jest łatwo – można zaplątać się w kujące jeżyny i maliny rosnące w części lasu od strony doliny albo odurzyć zapachem obsypanych kwieciami czeremch, które tworzyły ścieżki prowadzące na górę.

Jeśli Marty nie myliły przecucie i mgliste wspomnienie poprzedniego życia, to właśnie brak jednej, prostej trasy z Gaju do jeziora sprawiał, że tak wiele czasu spędzała samotnie z drzewami. Zawsze istniało ryzyko zaplątania pośród znanych – nieznanymi drózek, stworzonych w chwili zagubienia, i znikających, gdy Gaj lub dolina zostawały odnalezione. Musiała więc po prostu wejść do lasu, choć tym razem lękała się nie przestrzeni, a zostawienia jej za sobą. Nie była już pewna, czy Miasto na Górze istniało i czy życie, którym dotychczas żyła, było prawdziwe, i ona...

W tej zielonej niecce świat jakby zanikał lub na nowo się kreował i zapewne te dwie czynności odbywały się jednocześnie, a nawet były jedną historią ludzkości.

Ostatnie przemyślenia czmychnęły z głowy Marty, kiedy tylko zanurzyła się w leśnej kniei. Powitały ją stare, smukłe dęby i ich leniwe, wciąż uschnięte liście, chociaż reszta lasu już odżyła po zimie. Kobieta ominęła poskręcane krzewy z kolcami, idąc prosto na wschód, a potem wskakując w przełęcz pomiędzy nimi, pod górę. Czuła jednak, że im wyżej wejdzie, tym dalej od celu się znajdzie, więc szybko skręciła ku grubym sosnom i suchym modrzewiom. Długo wędrowała po mchu, nie czując nad sobą ani słońca, ani deszczu, ani światła księżyca. Półmrok towarzyszył kobiecie aż do mchowej polany, która wprawiła ją w dziwną nostalgię – draśnięcie wspomnieniem ciała. Wiedziała już, jak odnaleźć nieistniejącą drogę, że za bardzo odeszła na wschód i zapomniała lepiej wsłuchiwać się w okoliczne odgłosy. Szum strumienia powinien ją naprowadzić – ale nic nie szumiało, tylko kapało monotonna. Po chwili Marta dostrzegła, że to woda skapywała do małego zbiornika utworzonego z lśniących kamieni. A wokół trwały brzozy, z pniami zszarzałymi lub omszonymi, wysokie, pochylone od wpływu lat i wiatrów.

Wiele z nich nie miało już liści ani gałęzi – stały, pustosząc w środku niczym słupy leśnych granic. Lecz nie były samotne, porastały je huby, które wyglądały jeszcze starzej niż sam świat.

Marta postukała paznokciem w twardą skorupę jednej z nich. Ten cichy dźwięk poodbijał się echem od pni brzoź, porostów, pomknął nad kamieniami zastygłymi w starej alejce do ogrodu. Majaczył w oddali – ocieplany kolorami zachodzącego słońca, ale Marta wiedziała, że pokrywa go wiele cieni drzew. Ich podwójna obecność w ogrodzie wprawiła teraz kobietę w podniosły nastrój, jakby w tych drzewkach obsypanych kwiatami, a potem owocami, kładących się długim cieniem na pokrzywach i przytuliach – jakby w tej dwoistości widziała samą siebie. Zanurzona po kolana w zaroślach nawet czuła się trochę jak drzewo, a przecież to kamieni poszukiwała i za nie zginęła. – Gdy wyłowilem je wszystkie, wybierałem, wyśledziłem, żeby już nikt nie musiał, jezioro zaczęło wysychać i zarastać... – Usłyszała Marta i byłaby skłonna porozmawiać ze Starą Brzozą, gdyby nie zwyczajny, ludzki cień tuż obok niej.